Nr. 10. Warszawa, dnia 23 Lutego (6 Marca) 1872 roku. ROK VIII.

Serya trzecia

# OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcji: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Światu), Nr. 3 (nowy).

**Cena prenumeraty:**

**Na prowincyi.**
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

**W Warszawie:**
rocznie rs. 3 kop.—
Półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ —
miesięcznie — „ 25

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.



## OD REDAKCJI.

Z dniem 20 Marca (1 Kwietnia) r. b. Wydawnictwo Opiekuna Domowego, przechodzi w inne ręce. Nowymi nabywcami pisma, są pp. Wacław Szaniawski i Henryk Perzyński, spólnicy. Pozostawiając bez zmiany skład współpracownictwa, jako też poważny kierunek, pismu już dotąd przez nas nadany,—nowi właściciele, obok prośby o zatwierdzenie ich w prawach wydawnictwa, przesłali zarazem do JW. Ministra Spraw Wewnętrznych prośbę, o najmożliwsze rozszerzenie programu, zmianę tytułu, jako też inne niektóre, mogące wpłynąć na większą poczytność Opiekuna, ulepszenia. O ile wiemy, także nowe wydawnictwo, oprócz upiększania pisma, niezależnie od dzisiejszego *półarkuszowego dodatku*, drzeworytami, ma zamiar je drukować i na lepszym niż dotąd, papierze — co wszystko razem, braki wszelkie, jakie dziś jeszcze Opiekun przedstawiać w sobie może, zapełnić zapewne potrafi. Nikt się nie zdziwi, że przy tych zmianach i cena pisma podniesioną nieco, dla wszystkich *nowych* pp. prenumeratorów, zostanie — co jednakże nie wcześniéj, jak dopiéro z dniem 20.Czerwca (1-go Lipca) r. b. mogłoby nastąpić. Do dnia zaś tego, czyli do 20 Czerwca (1-go Lipca), cena prenumeracyjna pozostaje taż sama, na czém naturalnie wszyscy pp. prenumeratorowie, którzy się już dotąd zapisali lub też przed terminem wzmienionym, pośpieszą jeszcze *rocznie* i *półrocznie*, zapisać,—skorzystają.

Postawiwszy pismo na stopie, na któréj to wolną ma zupełnie drogę do rozwoju, — Redakcja obecna się cieszy, iż składa je w ręce zacnych, życzących dobrze literaturze naszéj, a zarazem zamożnych osób, które wszelkich starań przykładać nie omieszkają, aby Opiekun, zdobywszy sobie w przeciągu kilku miesięcy, tylu już *nowych* prenumerarorów, mógł nabywać ich i nadal coraz więcéj, przynosząc tém samém i coraz większy pożytek z siebie, ogółowi.

Przypominamy przy sposobności o wczesnéj przesyłce prenumeraty na czas dalszy. Opaźnianie się w przesyłce numeru, zpowodu późnego otrzymywania przez nas prenumeraty, dla samych pp. prenumeratorów jest wszakże rzeczą nieprzyjemną,—a tak łatwo jest sobie i Redakcji zrobić wygodę przez pośpiech kilkodniowy, nic dla nikogo nie stanowiący.

Prenumeratę nadsyłać prosimy pod tym samym jeszcze adresem: w Warszawie, ul. Chmielna (blizko Nowego-Światu) Nr. 3 (nowy).

## POJEDYNEK.

Kiedy szaleć to za panną!
*Pol.*

— Nie daruję, słowo honoru! zabiję, zastrzelę, porąbię w kawałki, na zrazy!

Tak wołał młodzieniaszek, zapewne niedawno przetworzony na człowieka dorosłego, po zdjęciu studenckiego munduru.

Działo się to na wsi, w okolicy Warszawy. Świadkiem zapalczywego gniewu był stryj młokosa, przypatrujący mu się z uśmiechem.

— Powiedzno, zuchu, co nowego zaszło,—rzekł stryj.

— Nie daruję, zabiję, zastrzelę! Słowo honoru!

— Kogo i zaco?

— Ale bo stryj nie zrozumie, nie pojmie!—krzyknął bezwąsy Julek.

— No, no, powiedz, wytłumacz.

— Bo uważa wuj.... ale nie! zabiję, słowo honoru!

— Bardzo dobrze; ale powiedzże przecie kogo?

— Tu nie ma innego punktu wyjścia! Słowo honoru! Albo ja trup, albo on!

— No któż do djabła?

— Uważa wuj... Ale nie! sam sobie w łeb wypalę!

— Mój kochany, jesteś fixat. Drzesz się od kwadransa, a ja nic a nic nie wiém.

— Pani Adamowa, zaczął Julek.

— Aha, Adamowa!.. więc kobieta!...

— Tak, kobieta, wdówka! anioł osoba! Co to za wykształcenie! jaka dystynkcja! Oczy jéj... doprawdy umrzéć można!

— Ba! jak umrzesz, to go nie zabijesz.

— Stryj się śmieje, a mnie krew o mało nie zaleje. Zabiję, słowo honoru!

— Pocóż zaraz słowo honoru?

— Bo to idzie o honor, honor kobiety!

— Kobiety? A w takim razie słucham uważnie, mężczyzna zawsze bronić honoru kobiety powinien, musi; to święty obowiązek!.

— Więc widzi Stryj, powiedziałem, niema innego punktu wyjścia

— E, niecierpliwisz mię. Albo gadaj, albo zamilcz i nie wrzeszcz o honorze, jak uczona sroka.

— Niechże stryj posłucha. Pani Adamowa, bardzo miła, przyjemna, ładna, prześliczna osoba, na wieczorku u państwa Styglickich, pozwoliła mi tańczyć z sobą wszystkie polki. Fawor taki, taka łaska, takie dobrodziejstwo, wzruszyło mię do głębi duszy; uczułem, że mam serce,—serce zabiło, w sercu tém jej obraz pozostanie na wieki.

— Ha! ha! ha! wybornie.

— To i stryj, jak uważam, szydzi ze mnie?

— Nie, nie, milczę i słucham.

— Otóż zachęcony jéj względami, cały wieczór w nią tylko patrzyłem, przy niéj siedziałem, z nią tańczyłem, a nawet odwiozłem ją własną bryczką do jéj domu. Po kilku dniach zrobiłem wizytę, roztkliwiła ją taka troskliwość, z słodkim zatém uśmiechem, ściskając mię za rękę, rzekła: Panie Juljanie, skończyłeś Gimnazjum, mam syna, chciałabym go powierzyć w dobre ręce, pan nie odmówisz mi

zapewne zostanie kierownikiem mojego dziecięcia, kształć go, a ja... potrafię odwdzięczyć się panu.

Trzeba było słyszeć te wyrazy, trzeba było widzieć uśmiech zdobiący jej czarowne, różane usta. Pocałowałem ją w rękę i o nieba! ścisnęła mię. Przepadłem na wieki. Ona odebrała mi duszę, myśl i serce, stałem się jej cieniem, na ustach jéj prawie spoczęło moje życie, jeden jej wyraz mógł mię zabić lub... pomieścić w krainie szczęścia. Oszalałem!

— Aha! więc to dlatego zajeździłeś kasztanka?

— Jakże stryjo jest prozaicznym! cóż znaczy zwierzę wobec istoty bozkiéj i nieśmiertelnéj.

— Zapewne; tymczasem kasztanek wart był najmniéj 300 rsr.

— Stryju drogi, oddam 400, ale niech stryjo słucha!

W domu jéj, bywał także Jaś Nieprzecki. O! ludzie to chytre tygrysy, to lichwiarze życia, to skąpcy, którzy radziby wszystko pochłonąć, zazdroszczą wszystkim wszystkiego, gniewa ich szczęście bliźnich, drażni miłość szczera, wzajemna oburza powodzenie, o śmierć przyprawia najdrobniejszy fawor losu. Uważałem, że stosunki moje z panią Adamową...

— Patrzajże, to były nawet stosunki... Fiu! Fiu! No, no, słucham daléj. Patrzajże... stosunki!... mówił kiwając głową stryj.

Józio straszliwego zrobił marsa, zarzucił w tył włosy, pociągnął się mocno za wargę, na któréj ciemniał puszek i wpatrzywszy się ogromnémi oczami, w stryja, powiedział:

— Stryju! to słowo krwi wymaga.

— Mój kochany, kończ lepiéj, a potém.. pomówimy.

— Zastrzegam to sobie,—dodał młokosik, jeszcze silniéj podrzucając grzywę. Przychodzę zatém do fatalnego zajścia.

Siedliśmy tedy we troje. Ja, Wicuś, syn pani Adasiowej i pani Adasiowa,

— Adasiowa! Tam do djabła.

— Stryju!

— Proszę cię nie uważaj na mnie,—szybko przerwał stryj duszący się od śmiechu,

— Siedzieliśmy we troje, ja czytałem „Konrada“—ach, jakże ona podobną była do Aldony!—wtem... ni ztąd ni zowąd wpada Nieprzecki. Zobaczywszy mnie obok niej, struchlał. Adasiowa kiwnęła mu tylko głową, kładąc palec na ustach. Ja czytam daléj. Kiedyśmy przyszli do pieśni „z wieży“... bozka kobieta... o! ona tylko pojąć może, myśl pieśni, zakryła twarz chusteczką usłyszałem stłumiony płacz. Przerwałem czytanie—i mnie istotnie zbrakło głosu. Jaś zerwał się i głośno się rozśmiał—Adasiowa także się rozśmiała.

— I ty także! Co?

— Kiedy dwie dusze rozumieją się z sobą, jednakich doznają wrażeń. Śmiałem się razem z nimi.

Przyniesiono kawę; rozmowa zwróciła się na inny przedmiot, wkrótce też przyjechało kilka kobiet z sąsiedztwa,

Jaś zwrócił się do mnie, z początku mówił bardzo przyzwoicie i skromnie. Ja, bo sobie tego nigdy darować nie mogę. Odezwałem się:

— Ach, to anioł kobieta!

— Tak, gdyby...

— Gdyby co! krzyknąłem, chwytając go za rękę.

— Gdyby nie miała... brodawki na nosie,

— Piekło! wrzasnąłem. Ta zniewaga tylko krwią zmyć się może. Wyzywam pana.

— Ależ mój drogi, spójrz tylko; bardzo piękna brodawka; wcale niezły gatunek.

— Nędzniku! szepnąłem, bo mi wściekłość tamowała oddech. Jutro o 6-éj rano, w lasku pod Zaciszem—albo ty trup—albo ja.

— Albo obadwa. Przyjmuję,—odezwał się i wyszedł. Niedaruję! zabiję! stryju! I ty milczysz, gdy mnie zabija rozpacz? Nikczemnik! on dojrzał brodawkę! brodawkę tam, gdzie Bóg sam idealne prawie zakreślił kształty nosa. Zabiję! zabiję! Stryju, ty milczysz?

— Bo mnie śmiech porywa. Jaś jest już dojrzałym mężczyzną, a nawet powiadają, narzeczonym pani Adamowej.

— Ha, tém więcéj pragnę jego krwi.

— Jeżeli się bić zechce.

— To spalę wieś, z dymem puszczę dwór, stanę na czele bandy rozbójników, a zemszczę się!

Tu dzielny nasz bohater, rozpłakał się.

Stryj uspokoił go i przyobiecał wejść w ową honorową sprawę. Jakoż zaraz wyjechał.

Julek czekał przybycia z utęsknieniem.

Minęło południe, nadszedł wieczór, przeszła noc, zbliżył się fatalny poranek, żadnej wiadomości, żadnego znaku życia.

Nareszcie zatętniało na moście, pokazały się siwki, Julek wybiegł na dziedziniec.

Stryj wszedł do pokoju poważny i milczący; zamknął drzwi; siadł wygodnie w fotelu i odezwał się:

— Źle, bardzo źle!

— Co, nie chce się bić?

— Owszem; jak ci powiedziałem, Nieprzecki, jako przyszły mąż pani Adamowej ogromnie się obraził i ani myśli o zgodzie.

— Przecież i ja o niéj nie myślę. Stryj niepotrzebnie nawet traktował w téj materji. Jakąż broń obrał?

— Właśnie nie obrał żadnéj.

— Jakto?

— Tak jest, nie obrał żadnéj, bo powiada, *że smarkacza* rózgą się każe.

— On to powiodział; ha! więc jak psa zastrzelę.

Po tych słowach chwycił ze ściany dubeltówkę.

— Hola! zaraz! zawołał stryj. Czekaj wartogłowie! Możecie się bić.

— Kiedy? Jak dorosnę na takiego błazna, jak on?

— Ależ zaraz, nie słuchasz końca i pleciesz głupstwa. Jaś owszem, nie obrał sobie broni, ale zgadza sie na pojedynek.

— Więc nie czekajmy! jedźmy zaraz!

— Słuchajże do pioruna! Obrał dziwny sposób pojedynkowania się na...

— Czekam... czekam....

— Na.... bambusy!

— Ba....a....ambusy?

— Najnowszy sposób amerykański załatwiania sporów... nie krwawo.

— Zgadzam się choćby na drągi.

— Ha! stało się; wybierajmy się.

* *
*

Niedaleko dworu, ciągnęło się szerokie błonie. Tu właśnie miały się odbyć nowoczesne turnieje. Plac wymierzono i zaznaczono palami, przeciwnicy z bambusami w ręku czekali znaku. Przedewszystkiém umówiono się że jeżeli pocisk będzie tak silny iż która ze stron walczących, z bólu, wybiegnie za znak oznaczony—walka się kończy i do tego na niekorzyść chroniącego się od uderzenia. Bambusy były długości trzech łokci. Ciekawy pojedynek zgromadził licznych widzów.

Nieprzecki krępy, nizkiego wzrostu, dość szydersko wpatrywał się w smukłego, młodego Julka, dyszącego prawdziwą wściekłością. Mimo usiłowań z obu stron pogodzenia przeciwników, zgoda nie została zawartą.

Powiadają, że i pani Adasiowa zaczajona w krzakach z kilkoma innémi damami, z prawdziwém zachwyceniem przypatrywała się zapasom.

Na klaśnięcie, poskoczyli do siebie przeciwnicy. Julek dość zręcznie zadał tęgi cios Jasiowi; Jaś zasłoniwszy się, śmignął młodego chłopaka po plecach, aż się bambus zwinął. Julek nie krzyknął, tylko z większym jeszcze impetem wpadł na przeciwnika. zaślepiła go jeszcze wściekłość, machnął w powietrzu, gdy nowy cios otrzymał.

Przytomni od śmiechu wstrzymać się nie mogli.

Nowy skok, nowe uderzenie, tym razem Nieprzecki poczuł bambus na włosach. Rozdrażniony bólem, słysząc nadto poza sobą wykrzyk kobiecego śmiechu, posunął się zbytnio i nie dając czasu oprzytomnienia się przeciwnikowi, zaczął go przyzwoicie okładać. Bambus, niby wąż, zwijał się, syczał, gwizdał, coraz nowe zadając ukąszenia. Nie było rady, Julek odskoczył w bok, a potém... niewiele myśląc, sunął do lasu.

Za nim odezwał się donośny głos:

— A do książki! do książki paniczu!

To go dobiło. Zmęczony, zlany potem, z śmiertelnym bólem w sercu, wpadł do pokoju i zaryglował go.

Tak przesiedział dwa dni z kolei. Przetrawiwszy zniewagę, powziął nieodwołalny zamiar, opuszczania strony, gdzie ludzie nie pojmują honoru, gdzie zamiast krwią, płacą kijem zniewagi i.... w kilka tygodni pojechał za granicę.

Bambusowa przygoda dość wrzawy narobiła wcałej okolicy. Pani Adamowa poszła za mąż za szczęśliwego zwycięzcę, któremu przecież nigdy nie mogła przebaczyć plotki o brodawce i za karę często... nadstawiała mu nosek do pocałowania.

Julek w lat kilka powrócił... dojrzał... spoważniał.... i nawet sam wówbzas niejednokrotnie rozpowiadał dobrym znajomym, że najlepszém lekarstwem na miłostki niedorostków—*operacja bambusowa!*

*S. M.*

## Czy nadmierny zbytek klas zamożniejszych przyczynia się do dobra klas biedniejszych?

Nic częstszego nad te zwykłe wyrażenia i zdania: a trzebaż dać zarobić i dorożkarzowi, trzebaż dać zarobić i kupcowi także! i t. p. O niejednym, co w nierozsądny sposób trwoni swą fortunę, powiadają: ale przynajmniéj daje zarabiać ludziom! — usprawiedliwiając choć w części najniedorzeczniejsze nieraz wybryki. Ludzie, czyniący wydatki zbytkowe, są tego przekonania, że dobrze przez to robią drugim. I inni żyć muszą! — dodają zazwyczaj.

Zatem klasa ludzi bogatszych, zbytkując, dostarcza zarobku biedniejszym, którzy w przeciwnym razie nie mieliby z czego żyć. Ktoś wydaje bal, wskutek tego da zarobić kupcowi, bo potrzebuje win; da zarobić modniarzom, fryzjerom i t. d., bo każdy potrzebuje się ustroić; da zarobić dorożkarzowi, bo każdy musi doń przyjechać dorożką; a znowu dorożkarz lub kupiec otrzymany zarobek obracają na zaspokojenie swych potrzeb, dając z kolei możność zysku trzecim i t. d. — słowem, ten kto wydaje bal, czyni nieskończoną ilość dobrodziejstw. Tym sposobem bogaci robią wielkie łaski biedniejszym, zbytek ich jest dla szczęścia téj klassy niezmiernie potrzebny, — oni są mecenasami biednych nawet wtedy, gdy popełniają niedorzeczności, gdy czynią zadość nierozsądnym zachciankom.

Czy to przywłaszczone mecenasostwo jest słusznem? A jednak tak wnioskuje ogół, tak zapatrują się na swe stanowisko bogaci, tak nawet sądzą i biedni. Każdy biedak, że się tak wyrażę, wzdycha do tego, aby bogaty czynił wydatki, bo to może mu nasunąć zarobek.

Przekonanie to nie od dziś dnia datuje: jeszcze w starożytnéj Grecji i Rzymie było ono panującém. Stoikom, którzy życie skromne i oszczędne prowadzili, zarzucano, iż są złymi obywatelami, bo umiarkowanie ich tamuje handel. Mówiąc nawiasem, oszczędność stoików nie była skutkiem zdrowych zasad ekonomicznych, których wcale nie znali, lecz wypływała z ich filozofji, z ich poglądu na życie, streszczającego się w zdaniu sformułowaném przez Rzymskiego Senekę: si quem volueris esse divitem, non est, quod augeas divitias, sed minuas cupiditates, (jeżeli kto chce być bogatym, niech nie zwiększa swych bogactw, lecz zmniejsza swe pożądania). Jakkolwiek błogie mogą być skutki téj zasady, wszelako nie wytrzymuje ona krytyki. Dzisiaj, inaczéj motywuje się oszczędność, — inaczéj patrzy się na życie. W ogóle tak w Rzymie jak i w Grecyi widziano w zbytku rozszerzenie handlu i przemysłu, powiększenie zarobków. Wprawdzie, wydawane tam były prawa przeciwko zbytkowi; to jednak, punktem wyjścia ich było usunięcie różnic między obywatelami, lub usunięcie zniewieściałości, — ekonomiczne zaś pobudki nie miały tam miejsca. Prawodawstwo Likurga, zabraniające używać innych przypraw prócz soli i octu, — innych sprzętów, prócz wyrobionych tylko przy pomocy piły i siekiery, — służy tego dowodem.

W wiekach średnich pogląd ten trwał daléj. Przeciwnicy, jeżeli się znaleźli, potępiali zbytek jedynie z powodów teologicznych. Słowem, kwestja pozostała nierozstrzygniętą, bo rozstrzygniętą być mogła tylko na drodze zasad ekonomicznych, które wówczas były jeszcze nieznane. Niemniéj, w średnich wiekach, jakoteż i późniéj, powstają prawa przeciwko zbytkom, mające znowu na celu głównie, zabronić użycia takich przedmiotów, które trzebaby było sprowadzać z zagranicy, — które nie produkowały się na miejscu; z uwagi, aby pieniądze nie wychodziły z kraju. Klątwa papiezka groziła tym, co tabakę do kościoła przynoszą. W Tracji, palącemu tytoń fajka miała być na nosie rozbitą. W Rossji zakazywano palić pod karą śmierci. W zachodniéj Europie zabraniano futer drogich, jak: gronostajów, bo je potrzeba było sprowadzać z zagranicy.

Ogólne przekonanie, trwające oddawna, odnośnie do zbytku bogatych, znalazło gorliwego obrońcę w Ludwiku XIV. Monarcha ten, między wielu paradoksami, powiedział: król robiąc wielkie wydatki daje jałmużnę; — i był przekonany, że marnując fundusze narodu czynił mu wielkie dobro. Następcy jego trzymali się tegoż mniemania, trwonili daléj, popychając naród francuzki w przepaść materjalnego niedostatku. W marnotrawstwie bogatych widziano szczęście biednych; twierdzono, że ubodzy umierają z głodu, gdy bogaci swe wydatki zmniejszają. Tak myślał Montesquieu, Voltaire i wielu innych; nawet niektórzy z dawniejszych ekonomistów, jak Malthus, Sismondi, podzielali ten pogląd. Adam Smith, pierwszy zbił tę fałszywą teorję, — a nowsi ekonomiści z gruntu rzecz rozebrali. Dopiero więc w ostatnich czasach mniemanie to w nauce obaloném zostało, ztąd niedziw, że dotychczas [w przekonaniu ogółu ma ono kredyt. Każdy z nas robi wydatki. O, gdyby nie te wydatki, — zawoła niejeden, — jakżebyśmy byli szczęśliwi! Przedewszystkiem, nie bylibyśmy szczęśliwi... ale do rzeczy. Wydaję na pożywienie, na okrycie, wreszcie na rozsypkę — bez tego wszystkiego nie miałbym dość sił i energii do pracy, do działalności; forma zużytych tu przedmiotów znikła, ale wartość ich istnieje pod postacią ożywionych moich sił, które będą daléj pracować i zarabiać. Wydałem na to wszystko 3,000 złp., lecz natomiast zarabiam 3,500, — wydaję więc dlatego, ażeby módz znowu produkować, a nawet abym zyskał więcéj, aniżeli wydam.

Pewien człowiek mający 15,000 rs. majątku, wydaje go na budowę domu. Pieniądze te jak istniały tak istnieją w kraju, tylko z rąk pierwotnego właściciela przeszły w ręce tych, którzy mu sprzedali potrzebne do budowy materjały i w ręce robotników, których do roboty używał; a nadto przybył dom — przedmiot, który będzie dostarczał nowe korzyści.

Marnotrawca wyda 15,000 rs. na bezcelowe podróże, wina i delikatesy. Potrzeby swoje tak fizyczne jako i umysłowe mógłby zaspokoić przedmiotami daleko tańszémi — na to dosyć było 2,000, zatem 13,000 są stracone, przeszły niepostrzeżenie, nie zwiększając zasobów krajowych. To znowu puszczony będzie fejerwerk za 1,500 rs. — cała suma uleci z dymem, nie pozostawiając po sobie śladu. Jedyny ślad, jaki mógł wywołać ten wydatek, jest przyjemność sprawiona publiczności. I zabawa bywa potrzebną, ale czy nie możnaby jéj dostarczyć taniéj? Widzimy więc, że jedne wydatki przyczyniają się do zwiększania kapitału krajowego t. j. tych zasobów i środków, które są przeznaczone do produkcji, czyli do wytwarzania nowych wartości, — inne zaś tego charakteru nie mają.

Zrozumiawszy to, idźmy daléj. Jeżeli kto wydaje co rok 8,000 rs. na zbytki, obiady i liberje, powiadają o nim, że daje zarabiać ludziom. Prawda, korzystają z tego restauratorzy, handle win, jubilerzy i t. d., lecz gdyby on te pieniądze użył na wychowanie swych dzieci, na zbudowanie im gimnastyki, na zakupienie biblioteczki, to w tym razie da zarobić nauczycielom, wydawcom książek i robotnikom budującym gimnastykę. Zatém, usuwając się od zbytku nie przyniesie on szkody klasom żyjącym z zarobku, i w jednym i w drugim przypadku owe 8,000 rs. przejdą w ręce klasy pracującéj, z tą tylko różnicą, że w pierwszym, wydatek nie pozostawia żadnego trwałego rezultatu, w drugim zaś, pozostałyby wieczne ślady, w formie lepszego fizycznego i umysłowego rozwinięcia jego własnych dzieci.

Fabrykant, zamiast wydać 8,000 rs. na zbytki, wydaje je na ulepszenie i rozszerzenie swéj fabryki. W pierwszym razie, dałby zarobić kupcom win i modniarzom, w drugim zaś, dostarcza zarobku daleko pożyteczniejszym pracownikom. W piewszym razie, rezultat wydatku jest prawie żaden, w drugim, jest widoczny: fabryka rozszerzona, produkuje więcéj, daje dochód większy — kapitał krajowy wzrósł o 8,000 rs. Podobnyż wypadek ma miejsce, gdy obywatel, zamiast wydać 20,000 rs. na ostrygi, uczty i szampany, obróci te pieniądze na ulepszenie gruntu, na oczyszczenie stawu, lub na wybudowanie młyna.

Ludwik XIV i jego następcy wydawali miljony na bale, uczty i metresy, sądząc w swéj błogiéj nieświadomości, że czynili dobrze, że wspierali biedne jednostki swojego narodu. Rzeczywiście, dawali wskutek tego zarobek producentom zbytkowych przedmiotów i usług, — lecz gdyby te miliony zostały obrócone na zaprowadzenie dróg, których wtedy Francja nie miała, na przekopanie kanałów, na urządzenie szkół, czyż nie nasunąłby się również zarobek inżenierom, budowniczym, cieślom, robotnikom i wreszcie nauczycielom? Tymczasem, w pierwszym razie, zbytkując, tracili niepowrotnie, w drugim zaś, powstałyby drogi, kanały, szkoły, które na przyszłość przyczyniłyby się znakomicie do wzrostu produkcji i bogactwa krajowego. Z tego wypływa, iż zazwyczaj usunięcie zbytku zamożniejszych, nie przynosi szkody klasom zarobkującym; ma tylko ten skutek, że przenosi zarobek w ręce pracowników użyteczniejszych, rezultat pracy których jest więcéj trwałym i powiększa zasoby kapitału krajowego.

Jeżeli teraz, ktoś zaoszczędza co rok pewną ilość pieniędzy, nie wydając ich zupełnie, nie czyniąc ani wydatków pożytecznych ani niepożytecznych, zdawałoby się, że w tym razie klasa, żyjąca z zarobku, traci; bo gdyby ten człowiek był rozrzutnym, wydatkowałby zaraz, i zatem dałby zarobić. Tymczasem tak nie jest. Mogą tu być 2 przypadki: 1) albo ten ktoś zrobioną oszczędność trzyma w pieniądzach, 2) albo pożycza lub kupuje papiery. W pierwszym przypadku, rzeczywiście może mieć miejsce pewna strata dla klas żyjących z pracy, lecz ta strata jest tylko chwilową, prędzéj bowiem czy późniéj, kapitał ten będzie puszczony w ruch, chociażby np. przez spadkobierców téj osoby. Wtedy tylko strata byłaby zupełną, gdyby ta osoba skarby swe ukryła. Wypadki takie bywają częste tam, gdzie bezpieczeństwo osób i własności nie jest dostatecznie zapewnioném. W średnich wiekach, szczególniéj w czasach wo-

jen i niepokojów, a i dziś jeszcze w Azji, zpowodu małego bezpieczeństwa publicznego, często się to zdarza. Jeden satrapa perski, na śmiertelném łożu nie chciał powiedzieć, gdzie swój skarb zakopał, a ojciec jego po każdém zakopaniu skarbu zabijał niewolnika, którego użył do pomocy. Mieszkańcy Wschodu wierzą, że każde nieznane ruiny ukrywają skarby, których niezrozumiały napis uważają za talizman do ich zdobycia; każdego naukowego podróżnika mają za poszukiwacza skarbów. My jednak w Europie, dzięki postępowi czasów nowszych, mamy zapewnione szeroko bezpieczeństwo publiczne, i dlatego też podobne zdarzenia należą do nader rzadkich. Jest to jedyny przypadek oszczędności, która może być szkodliwą, mianowicie dla ekonomji krajowéj,—dla danéj zaś jednostki będzie ona zawsze korzystną, bo zwiększa ilość jéj środków. Zjawisko to, mogące wydawać się szczególném, tłumaczy się tém, że wzrost bogactwa indywidualnego niekoniecznie prowadzi za sobą powiększenie majątku ogólnego. Społeczeństwo nie jest prostą lepianką, prostem nagromadzeniem pojedynczych jednostek, ale ich organicznem połączeniem. Nadmierny wzrost jednego organu w tem wielkiem ciele społeczném, odbywający się kosztem drugich, może być szkodliwym dla całości.

Zazwyczaj jednak, gdy kto oszczędza, to nie dlatego, aby trzymać pieniądze i patrzéć się na nie, przeciwnie, każdy pragnie, żeby zaoszczędzony kapitał przynosił mu dochód, procent. W tym celu potrzebuje puścić go w ruch, a skoro sam tego nie czyni, to za pośrednictwem drugich *np.* pożycza. Pożyczający, albo użyje téj summy na swe potrzeby, dając w tym razie zarobić innym, albo obróci ją również na zaspokojenie długu; tu zaś spłacony wierzyciel znajdzie się w położeniu właściciela, potrzebującego puścić swój kapitał w ruch, aby mieć dochód. Słowem, prędzéj czy późniéj, summa ta dojdzie do rąk takich, które ją zastosują do jakiejś produkcji, dostarczając tym sposobem zajęcia i zarobku pracującym.

Ale, dajmy na to, że właściciel zaoszczędzonego kapitału, kupił akcje kolei żelaznéj. I tu jest pewien rodzaj pożyczki. Ci, co rozkupili akcye, dali niejako pożyczkę kompanii, która przy pomocy tego pożyczonego kapitału wykonała swe roboty. Podobnież rzecz się ma, gdy kupujemy listy zastawne, lub inne jakie papiery. Procent zaś przywiązany do listów zastawnych lub do akcij będzie wynagrodzeniem za zrobioną usługę. Widoczną więc jest rzeczą, że właściciel zaoszczędzonych zasobów, chociaż nie sam, to za pośrednictwem drugich, puszcza je w ruch, — a nadto, przez swą oszczędność powiększa kapitał krajowy. Jeżeli w kraju znajduje się wiele jednostek podobnie oszczędnych, to zasoby narodu będą znakomicie wzrastać. Ta to okoliczność jest rzeczą wielkiéj wagi. Im więcéj będzie kapitałów, tem więcéj znajdzie się roboty, tém łatwiejsza możność zarobku, tém lepiéj dla klas pracujących. Temu, co zasoby swe posiada w listach zastawnych lub akcjach, zdawać się może, że kapitał jego choć procent mu daje, to jednak leży nieruchomie, — w gruncie rzeczy tak nie jest; tutaj tylko kto inny kapitałem tym obraca, mianowicie ta kompanja, któréj akcje on posiada, lub towarzystwo kredytowe, którego listy zastawne kupił. Niejedno przedsiębierstwo nieraz nie może się udać właśnie dlatego, że nie ma w kraju dostatecznego kapitału. Aby założyć fabrykę potrzeba wybudować budynki, zakupić maszyny i materjały surowe, mieć środki na opłacenie robotnika, chociażby więc znalazło się dosyć zdolnych do prowadzenia tego interesu przemysłowców, jeżeli sami nie mają dostatecznych środków, ani drogą kredytu otrzymać kapitału potrzebnego nie mogą, dlatego że go w kraju niema,—to najlepsze chęci spełzną na niczem; produkty, które miała przygotowywać owa fabryka, będą ciągle daléj sprowadzane z zagranicy. Tymczasem łatwo zauważyć, że otworzenie takiéj nowéj fabryki rozszerza źródła zarobku dla pracującéj klasy.

Jeżeli kapitał [1]) pewnego kraju równa się 100 milionom rubli, i gdyby ten wskutek oszczędności wielu jednostek powiększył się w ciągu kilku lat o 40 milionów,—łatwo ocenić, jak wielkie wywołałoby to skutki. Powiększony kapitał, aby procentować, musi być puszczony w ruch; bitoby nowe drogi, budowanoby nowe domy, teatry i t. d. Lecz wszędzie potrzeba rąk, pracownicy będą więcéj poszukiwani, i byt tych klas zaraz się polepszy. Jeżeli poprzednio znaczna ilość ludzi była bez zajęcia dla braku roboty, teraz wszyscy zostaną zatrudnieni. Jeżeli zaś takiego nadmiaru rąk nie było, to robotnicy będą więcéj pożądani, trudniéj będzie o nich, a w skutek tego wynagrodzenie ich powiększy się. I im bardziéj by wzrastał kapitał krajowy, tém bardziéj zarobki zwiększyłyby się: klasa prostych robotników będzie w możności lepszego życia, rozszerzy swe potrzeby—jeżeli dotąd żyła kartoflami i chlebem, zacznie używać mięsa; jeżeli chodziła w łatach, poczuje potrzebę prostéj ale całéj sukmany; jeżeli miała 1-ną koszulę, będzie ich miała 3. Nawiasem dodam, że na rozszerzenie potrzeb klasy niższéj, wpłynie nietylko wzrost stopy zarobków, ale także zwiększenie produkcji (*np.* zwiększenie ilości fabryk), która budząc większą konkurencją, obniży ceny przedmiotów. Z drugiéj znów strony, nowopowstałe zapotrzebowanie przedmiotów, przedtém przez tę klasę nieużywanych, (równoważyć poprzedni wpływ i bezwarunkowo nie dozwoli upaść cenom aż do minimum. (Upadek cen do minimum jest szkodliwym, pociąga bowiem za sobą upadek produkcji, *np.* fabryk). Słowem, wzrost kapitałów w kraju prowadzi za sobą polepszenie bytu klas roboczych, ponieważ zaś oszczędność zamożniejszych przyczynia się do tego wzrostu, zatém w oszczędności, a nie w zbytku bogatych, klasy pracujące powinny widziéć swe szczęście.

Prawda ta nie jest uznawaną dla tego, że każdy producent kieruje się tylko interesem chwili. Modniarki, fryzjerzy, restauratorzy wzdychają do karnawału, który ma im przynieść bogate żniwo, czyli mówiąc inaczéj, pragną zbytku zamożniejszych, bo to da im zarobek; że zaś na przyszłość zasób krajowy nie będzie się zwiększał, że za lat kilkanaście dla nich samych może to być szkodliwém, o tém oni nie wiedzą. Boją się zostać bez zajęcia, to tłumaczy ich błędne przekonanie. Strach ma wielkie oczy. A każdy dzień przeżyć trzeba—zarobek jest pilny.

Lecz czy ta obawa nie jest przesadzoną? Zastanówmy się nad tém bliżéj.

Nigdy klasy żyjące z zarobku, nie mogą być bezwzględnie zabezpieczone,—zarobek ich zależy od tego, czy publiczność żąda tych przedmiotów i usług, które są przez nich dostarczane, czy nie. Tymczasem, żądanie jest zmienne; ciągle się kołysze, przechylając się to w tę to w drugą stronę, i wywołując od czasu do czasu tak zwane przesilenie [1]) dla pewnéj klasy zarobkującéj. Zaprowadzenie oszczędności w życiu bogatych może być przyczyną takiego przesilenia, ale niemniéj każda nowa moda, każda zmiana w kierunku zbytku, który raz może się wyrażać w jedzeniu i piciu, to znów w zbytkowném otoczeniu, podobnyż mają skutek. Przesilenia są nieuniknione, i nawet przy istniejącym zbytku zdarzać się będą; zresztą przełomy te, jak u nas, nie bywają groźne. Nie taki djabeł straszny jak go malują, powiada przysłowie. Wszystkie zmiany w życiu społeczném, jeżeli następują wskutek rozwoju, siłą własną, że się tak wyrażę, bez zewnętrznego nacisku—następują powoli. Natura przeskoków nie lubi. Jeżeliby nastąpiła zmiana w życiu zamożniejszych na korzyść oszczędności, zmiana ta nastąpiłaby zwolna, zmniejszając stopniowo zapotrzebowanie przedmiotów zbytkowych; a producenci mieliby dość czasu opatrzéć się i zastosować do téj zmiany, produkując mniéj lub skierowując swą działalność ku innym gałęziom przemysłu. A zresztą, jakaż jest czynność producentów? Oni powinni oceniać potrzeby ogółu i do nich się stosować. Przenikliwość, znajomość rzeczy, są w tym względzie wskazówką. Im który z nich lepiéj potrafi przewidziéć, na jakie przedmioty i jak znaczne będzie żądanie, tém sowiciéj zostaje wynagrodzony, tem cena usług przez niego dostarczonych będzie wyższą. Wprawdzie, nawet i najprzenikliwsi mogą się omylić, lecz pod tą obawą stoi każdy, zarówno producenci przedmiotów i usług zbytkowych, jak i koniecznych. Powodem takich omyłek są okoliczności niezwyczajne, które w żaden sposób nie mogły być przewidziane,—co znowu należy do wyjątkowych i rzadkich wypadków.

Niesłusznie więc klasy żyjące z zarobku obawiają się oszczędności bogatych, zresztą, gdyby nawet ich obawa była słuszna, to jeszcze nie dowodziłaby potrzeby zbytku ze strony zamożniejszych. Jeżeli bowiem zaprowadzenie oszczędności wywołuje pewne przesilenie, niekiedy przykre dla niektórych klass pracowników, jakoto: dla kupców win, restauratorów, fryzjerów, jubilerów, i t. p. to znaczne rozszerzenie zbytku może wywołać podobnyż skutek względem innych. Mianowicie, klasa nauczycieli, budowniczych, cieśli, agronomów i t. d., straci, praca ich mniéj będzie pożądaną, wielu z nich pozostanie bez roboty i zmuszeni będą przerzucić się do innych zajęć, zaczną wytwarzać przedmioty i usługi zbytku, które teraz jedynie znajdują pokup, i z pracowników użytecznych stają się pracownikami nieprodukcyjnymi, których trud nie przyczyni się do powiększenia kapitału krajowego. Czyż więc społeczeństwo ma prawo twierdzić, że dla pomyślności klas żyjących z pracy, potrzebny jest zbytek bogatych? Zaiste, nie. Takiż pogląd spotykamy i u Supińskiego.

Chcąc uniknąć możebnych zarzutów, potrzebuję w tém miejscu zrobić jednę uwagę. Wyraziłem dotąd myśl, że kapitał jest rezul-

[1]) Zwracam uwagę, że przez kapitał nie należy rozumieć tylko *pieniądze*.

[1]) Przesilenie ma miejsce wtedy, gdy pewna klassa zarobkująca np. mularze albo fryzjerzy nie mogą znaleźć roboty (a zatem i zarobku), co zmusza ich niekiedy przerzucić się do innych zajęć.

tatem i wzrasta w skutek reprodukcji. Korzystna reprodukcja polega na tém, aby więcéj odrobić, niżeli się zużywa; np. jeżeli bednarz wydaje na swe potrzeby 150 rs. a natomiast swą pracą wywyrobi obręczy i beczek za 165 rs. Podobnież kapitał kraju składający się z różnych zasobów przeznaczonych do produkcji jak oto: fabryk, domów, maszyn, narzędzi, zapasów żywności, wzięty jako całość, ulega zużyciu, dajmy na to, w ciągu 50 lat, — idzie wiec o to, żeby ludność krajowa w tymże czasie nietylko odrobiła ten kapitał, ale nadto powiększyła go. Z tego powodu ci, co twierdzą, że kapitał wzrasta wskutek reprodukcji, powiadają: tu nie idzie o oszczędność, niech sobie kto chce wydaje choćby 2 razy więcéj, jeżeli jednak zarobek jego potroi się, to będzie dobrze. Z przytoczonych przykładów łatwo wywnioskować, że przy każdéj korzystnéj reprodukcji musi miéć miejsce i oszczędność, tylko znów nie każda oszczędność jest reprodukcją *np.* ukrycie skarbu. Słowem, dwa te pojęcia nie wyłączają się, chociaż nie są identyczne. Reprodukcja jest pojęciem węższem, ściślejszém, jest to oszczędność w pewném ograniczoném znaczeniu, mianowicie taka, która przeznacza się do dalszego wytwarzania wartości. Dlatego też, pomiędzy mojém zdaniem a zdaniem tych, co twierdzą, iż kapitał istnieje wskutek reprodukcji, niema żadnéj sprzeczności.

Zatém, ze stanowiska klas pracujących, zbytek bogatych nie znajduje usprawiedliwienia, mimo to jednak nie możemy go bezwzględnie potępiać. Czy słusznem byłoby oceniać objawy życia społecznego z tego tylko stanowiska, wiedząc, że wszelka jednostronność zawsze jest w rozultacie błędną? Społeczeństwo nie powinno kierować się interesami jednéj tylko klasy, chociażby najliczniejszéj. Poza obrębem jéj interesów istnieją jeszcze inne okoliczności, które nakazują zbytek zamożniejszych nawet usprawiedliwić, jeżeli ten tylko nie jest nadmiernym.

Przejrzyjmy to zadanie daléj. Punktem wyjścia działalności człowieka są jego potrzeby. Gdybyśmy nie mieli potrzeb, gnilibyśmy w bezczynności. Południowy Amerykanin, któremu drzewo bananowe zbyt dobrze zapewnia pożywienie, liść palmy—okrycie, a pierwsza lepsza grota—schronienie, niema pobudki do pracy. Jest również pewnikiem, iż po zaspokojeniu jednych potrzeb powstają drugie, — a kto raz zazna pewnéj przyjemności, będzie jéj pragnął częściéj. Dopóki nie znano koszul, nikt o ich używaniu nie myślał, nawet królowie obchodzili się bez nich. W wieku piętnastym jeszcze małżonka Karola VII miała być jedyną francuzką, co posiadała więcéj jak dwie koszule lniane. Zdarzało się wtedy często, że księżniczka jaka dawała drugiéj w podarunek jednę koszulę. A dzisiaj któż wątpi o koszul koniecznéj potrzebie? Rozwój potrzeb jest wielki i nikt nie może wątpić o jego dobréj stronie. Dążymy ciągle do coraz lepszego i wygodniejszego życia, jednocześnie upiększając je i uszlachetniając; po zaspokojeniu materjalném rozwijają się potrzemy moralne— postęp idzie w parze z rozszerzeniem potrzeb.

„Potępiać życie wygodne i coraz wygodniejsze, potępiać to, co je uprzyjemnia i podnosi, jest to potępiać cel usiłowań, tłumić pracowitość”... [1]) Bez zaprzeczenia zbytek i wygoda są pobudką naszéj działalności; usuwając to, zniszczylibyśmy cel usiłowań wielu jednostek. Któżby chciał przedsiębrać prace, mogące się ciągnąć całe lata, gdyby nie zachęcał go widok przyszłych korzyści, nadzieja zaspokojenia swych pragnień? Pierwiastek ociężałości jest obecny w każdéj chwili naszego życia, praca jest ciężką, ale ona służy za środek do zdobycia lepszego bytu; dla takiego celu chętnie używamy podobnego środka. Lecz gdyby nie było tak silnéj pobudki, spartanizm usunąłby rozwój wyższych potrzeb, wpłynąłby ujemnie na postęp. Czy podobna przypuścić, aby tak powszechny fakt, jakim jest rozszerzenie naszych potrzeb, nie miał w naturze saméj gruntownéj podstawy

Tym sposobem należy przyznać, że zbytek nienadmierny klas zamożniejszych, musi być także usprawiedliwionym a tém samém potrzebnym jest nawet. Wyrzeczenie się nie może być postawionem zasadę życia ludzkiego. Podziwiać możemy tylko takiego człowieka, który wyrzecze się wygód i zbytku, nie przestając być równie czynnym, energicznym i zapobiegliwym dla korzyści drugich,—lecz znowu nie możemy tego uważać za obowiązek wszystkich.

Uwzględniając zbytek, musimy wszelako potępić wszelki jego odcień nierozumny lub przeciwny moralności. Jeżeli kto z kaprysu nie chce jeść łyżką srebrną, ale koniecznie złotą,—jeżeli panowie rzymscy zakładali sadzawki na dachach i ogrody na wieżach, — jeżeli cesarz Kaligula kazał dla swego konia wystawić stajnię marmurową ze żłobem z kości słoniowéj, polecił pokryć go czaprakiem purpurowym i na szyję włożyć mu łańcuch z pereł, ustanowił przytem straż dla tego zwierzęcia, aby żaden hałas nie trwożył mu snu i wyznaczył osobną służbę, która posługiwała znakomitym osobom składającym wizytę temu koniowi — któż nie potępi takich wybryków? Niemniéj, podobnie gdy kto wyprawia kąpiele z win, — lub gdy kto inny wydaje dziesiątki tysięcy na illuminacje i uczty dla swéj faworyty—każdy to uzna za złe.

Co do granicy, do jakiéj zbytek w kraju może się rozwijać, takową należy dokładniéj oznaczyć.

Wzrost kapitału jest potrzebny nietylko dla rozszerzenia dobrobytu, lecz i dla postępu; wiadomo zaś, że wydatki zbytkowe nie przyczyniają się do tego wzrostu, dlatego też jest pożądaném ażeby ilość ich nie była tylko zbyt wielką. Nadto zwrócić należy uwagę na to, że ludność również wzrasta, — przyrost jéj może wydawać się niezbyt wielkim; jak u nas, wynosi rocznie zaledwie 1%; nie jest on wszelako małym, to też pragnąć należy, ażeby wzrost kapitału był daleko szybszym od wzrostu ludności. W krajach bogatych, gdzie nadto istnieje szybka i korzystna reprodukcja, jak w Anglii, zbytek też swobodnie rozszerzać się może, nie naruszając téj granicy.

Ocena, czy społeczeństwo utrzymuje swe wydatki w tych granicach, jest możebna. Wzrost stopy zarobków, wzrost kredytu, nowe budowle, fabryki i t. d.,—oto są cechy charakteryzujące taki rozwój. Niemniéj ważną tu pomoc nieść może Statystyka.

Ale ta ogólna granica jest niedostateczną, i należy oznaczyć drugą, szczegółową dla pojedynczych jednostek, którą się one kierować powinny. Mianowicie: 1) wydatki nasze nie powinny być ani nierozumne, ani przeciwne moralności, o czém mowa była wyżéj; 2) nie powinny przewyższać naszych dochodów, a nawet potrzeba, jest aby były cokolwiek od nich mniejsze. Kto przechodzi tę granicę podkopuje swój byt, chociaż nie zrujnuje tém może gospodarstwa krajowego, jeżeli inne jednostki potrafią rozumnym rządem powetować jego straty.

Rzucając okiem na stosunki nasze, przyznać trzeba, że bardziéj aniżeli gdzieindziéj, prawidła te winny być u nas przestrzegane. Historja nasza, zwłaszcza XVIII wieku, przedstawia niemało przykładów przekroczeń w tym względzie, co między innemi faktami, niemogło być nieszkodliwem. Obecnie przekroczenia takie są wyjątkowémi, prawie niebywałémi; czyby to miało być dowodem, żeśmy gruntownie pojęli zasady ekonomji? W każdym razie, pomnąc, że postęp moralny nie może iść w parze z postępem materjalnym, powinniśmy, każdy po szczególe, przyczyniać się do wzrostu kapitałów i zasobów naszych drogą rozumnéj oszczędności, a w ogóle drogą silnéj i energicznéj reprodukcji.

Kończąc nasuwa się jeszcze pytanie: co było przyczyną błędu? dlaczego sądzono, że zbytek bogatych jest potrzebnym dla pomyślności biednych? Oto, pieniądze brano za jedno z bogactwem; ponieważ zaś przy zbytku pieniądz przechodził z rąk zamożniejszych do biedniejszych (zapominano, że i przy wszelkich pożytecznych wydatkach i przedsięwzięciach, również korzystają klasy zarobkujące), dlatego twierdzono, że bogactwo przechodzi do klas żyjących z zarobku, że klasy zbytkujuce dzielą się niejako tym sposobem swémi zasobami z innémi—ztąd owe przywłaszczone mecenasostwo bogatych. Pomijając błędność tych wniosków, poco upatrywać niewłaściwie jakąś wyższą pobudkę? Interes osobisty, który leży na dnie nawet wielkich i szlachetnych czynów, jest obecny i przy zbytku, z tą różnicą, iż tutaj, że się tak wyrażę, pływa po wierzchu.

*A. Suligowski.*

# O PRACY UMYSŁOWÉJ
## w stosunku do pracy fizycznéj.

ODCZYT PUBLICZNY

JULJANA OCHOROWICZA,

*(Ciąg dalszy - patrz Nr. 9.)*

(Ciąg dalszy - patrz Nr. 9.)

Wracając do zależności pracy umysłowéj od mózgu, dodam jeszcze kilka uwag o wpływie na nią *wrażeń zewnętrznych*. Wrażenia w ogólności mają władzę ożywiania czynności umysłu—a nawet zupełne ustanie wrażeń, wstrzymuje objaw samowiedzy. One wprowadzają w ruch mechanizm mózgowy, obudzając z uśpienia szeregi wyobrażeń i pojęć. Zmiana wrażeń, widoki, przechadzki, podróże, odświeżają umysł i pobudzają go do pracy. „Najlepsze myśli, mówi Goethe, przychodziły mi podczas przechadzki.”

Jeśli jednak, przy silném zajęciu umysłu jednym przedmiotem zechcemy go napastować wrażeniami, niemającémi zw...

[1]) Supiński. Szkoła polska Gosp. Społ. Tom I str. 230.

przedmiotem, to będą one działać paraliżująco—dlatego też ludzie, pracujący umysłowo, szukają ciszy i samotności, poddając się tylko tym wrażeniom, które przedmiot ich zajęcia rozjaśnić mogą. Jak daleko zajść może tego rodzaju odosobnienie, przy zatopieniu uwagi w jednym przedmiocie, dowodzi tego znany fakt, że Archimedes, najznakomitszy matematyk starożytności, zamordowany został przy napadzie na Syrakuzę, w chwili, gdy, pochylony nad tablicą, rozmyślał nad twierdzeniem geometrycznėm.

Wrażenia przyjemne, lecz niezbyt silne, pobudzając ruchy serca, ożywiają zarazem czynność mózgu. Zbyt silne, czy to przyjemne czy przykre, wstrzymują ruchy serca, wstrzymują dopływ krwi do mózgu, a tém samém zawieszają czynność samowiedzy—następuje omdlenie, czyli utrata świadomości. Chcąc ocucić osobę zemdloną, pryskamy jéj w twarz wodą; przez takie podrażnienie nerwów, pobudzamy serce; serce wysyła nową ilość krwi do mózgu i przytomność wraca. Przeciwnie, cisza, wrażenia słabe i monotonne, nie podtrzymując przypływu krwi, powodują stopniowe słabnięcie czynności umysłu—nareszcie świadomość ginie zupełnie i przechodzimy do snu.

Praca czysto umysłowa, niebudząca uczuciowych strun naszéj duszy, jak np. przerabianie obojętnych dla nas rachunków, albo czytanie metafizyki przez kilka godzin z kolei, silnie wycieńcza mózg, sprowadza zmęczenie i sen; twarz wtedy zwykle jest blada, oczy zamglone. Przeciwnie, praca umysłowa, rozbudzająca uczuciowość, np. czytanie zajmującéj powieści, w któréj losy bohaterów przejmują nas do głębi serca, sprowadza krew do mózgu, podnosi jego żywotność i wybija nas ze snu. Twarz wtedy bywa zwykle zarumienioną, oczy błyszczące.

Łatwo też było zauważyć, że po długotrwałéj i uciążliwéj przechadzce, albo po dobrym obiedzie, trudno nam zabrać się do pracy umysłowéj; myśl staje się wówczas ociężałą i leniwą, i uczuwamy potrzebę kompletnego spoczynku, chociaż umysł nie był niczém strudzony. Przyczyną tego zjawiska jest to, że krew jest odciąganą od mózgu, ponieważ wytężenie mechaniczne powiększyło jéj napływ do nóg, jeśli te były sforsowane, albo też do żołądka, jeśli ten zmuszony jest więcéj niż zazwyczaj pracować nad strawieniem pokarmów.

Widzimy tedy, w jak ścisłym związku znajdują się wszystkie sprawy organiczne. Wytężona nad miarę praca mechaniczna, szkodzi umysłowi – naodwrót zaś, wytężona praca umysłu szkodzi ciału. I jakkolwiek natura ludzka jest tak elastyczną i silną, że do najmniéj hygienicznych warunków przyzwyczaić się może, to jednak nie ulega wątpliwości, że najpewniejszą podstawą zdrowia jest harmonijna działalność wszystkich organów, a więc i muskułów i mózgu. Taka praca ożywia krążenie krwi, sprowadza prawidłowy rozwój organizmu, utrzymuje umysł w stanie świeżości i nadaje mu przewagę nad zgubnémi wpływami otoczenia. Uczeni, którzy tę wielką zasadę w życiu zastosować umieli—żyli długo, panując siłą myśli nad cierpieniem ciała i nie zaznali w póżnym wieku tych ciężkich kajdan, jakie wkłada na nas starość i zgrzybiałość, nierozważném życiem przyspieszona. „Główną przyczyną wielu chorób, mówi Feuchtersleben w własnéj swéj „Hygienie duszy," jest zbyteczna uwaga na wszystko co ciała dotyczy, nie można więc temu lepszego przeciwstawić środka, jak wyższe umysłowe zajęcia, które odwodzą mysl naszę od kłopotów cielesnych. Litość bierze, patrząc na te ciasne głowy, zajęte drobiazgową i nieustanną pieczą około swego fizycznego bytu, który sami podkopują powoli przez ciągłe obawy. Lekarz, którego niezmordowanie się radzą, czuje dla nich tylko pogardę. Tacy ludzie umierają dlatego, że żyć pragną." Brak im bowiem téj siły umysłowej, która odrywając myśl od poziomych drobnostek życia, opiera szczęście nasze na niezachwianéj podstawie wiedzy, odsłaniającéj nam swe skarby duchowe. Platon nauczał jeszcze w 80 r. życia—Auber, w 82 skomponował swój „Pierwszy dzień szczęścia"—Goethe, w 83, na kilka dni przed śmiercią, wydał jeszcze sławną swą broszurę „o zasadach filozofii zoologicznéj Geoffroy de Saint-Hilaire," w któréj stawał po stronie teorji rozwoju, tak głośnéj w dzisiejszych czasach, od chwili, gdy z nią złączono nazwisko Karola Darwina.

Niedawno zmarły znakomity nasz prawnik i historyk, Antoni Zyg. Helcel, przedstawia nam ciekawy przykład, dowodzący jak wielką siłę ma nad organizmem głęboka praca ducha. Od wielu lat złożony ciężką chorobą, żył tylko tą jedną myślą pracy, któréj ukończenie było jedynym celem jego zabiegów. Dokonawszy tego, gdy już ostatnią kartkę książki wykończył, rzekł: „teraz mogę spokojnie umierać." W kilka godzin potém już nie żył.

Nauka ma swoich męczenników—ale nie powiększajmy ich liczby. Pracujmy nad tém, ażeby ciało nie krępowało polotów ducha, ażeby maxyma starożytności: *„zdrowa myśl w zdrowém ciele"* znalazła swe zastosowanie. Pracując duchem, nie zaniedbujmy kształcić ciała; wszakże dzisiaj nikt już nie podpiera doktryny, wymyślonéj przez tych, którzy o niéj sami zapomnieli, a która uważając ciało za wroga duszy, radzi je wycieńczać i umartwiać, ażeby próżniaczemu duchowi zapewnić przewagę nad niedołężném ciałem.

Nauka daje nam inną przestrogę. Każe ona w zdrowiu ciała widzieć podstawę zdrowia duszy. „Kto wié, mawiał Aleks. Humboldt, czy inni nie zrobiliby więcéj odemnie, gdyby byli ciągle tak zdrowi, jak ja."

* * *

Mamże mówić jeszcze o tych najwyższych rozkoszach, będących udziałem umysłowo pracujących, a o których niewtajemniczeni nie mogą mieć nawet pojęcia,—o tych rozkoszach, które ponad doczesnym światem czczych zabiegów czerpiąc swe natchnienie, życie i siły wlewają w zgnębione troską duchy? Wszechświat, ten niedościgły bezmiar tajemnic, – ludzkość, ten olbrzym w sfinksowym swym pochodzie,—nie sąż dość wspaniałém polem dla pracy, myśli wolnéj, świadoméj siebie?

Wydzierać przestrzeniom ich tajniki, czasom — ich przebrzmiałe echa; zgadywać ruchy światów, krążących nad nami w bezmiarze; zagłębiać się w bezdeń ludzkiego ducha, aby z tajemniczéj jego głębi wydobywać perły wielkiéj nauki: jak żyć i umierać przystoi człowiekowi—nie jestże to praca godna naszych przeznaczeń? Tak, praca umysłu zjednoczona z pracą rąk naszych—to nasze przeznaczenie, to nasza potęga. Społeczeństwo, w którém wszyscy pracują—nie może upaść. Praca ciała daje nam życie—ale praca ducha, daje nam godność i siłę. Przez nią, utrzymujemy się bezustannie na tym poziomie wiedzy, który prace zagranicznych badaczów podnoszą coraz to wyżéj. Nie zostawajmy w tyle, bo nas ten prąd pokryje i zatopi. Raczéj powinniśmy całą siłą ducha wybić się ponad ten poziom wiedzy, pochwycić za ster postępu, i przewodniczyć innym narodom w pracy i nauce.

# DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

## Tom II.

(*Ciąg dalszy.*)

### ROZDZIAŁ VIII.

Pani Mush głośno mówiła, nikt więc nie słyszał wejścia do salonu Sybilli, która stanęła przy drzwiach i rzuciła okiem po siedzących tam osobach. Pani Mush siedziała plecami do niéj, ojciec bokiem; pani Kennedy twarzą ku wejściu, wpół siedząc wpół leżąc na kozetce, wyglądała jak piękny obraz, podwyższający blask nowo-umeblowanéj sali. Bukiety kwiatów w żywych kolorach rozściełały się na białéj poduszce, o którą była oparta. Miała na sobie podróżną, jedwabną suknię; na drobnych paluszkach błyszczały pierścionki; kosztowna bransoletka podwyższała blask śnieżnego ramienia. Wyglądała zdrowo, wesoło i pięknie.

Sybilli ścisnęło się serce. Otóż to jest dziewczę, które do tego domu sprowadziła ubogiém i otoczyła opieką swojéj miłości! Posunęła się naprzód. Pani Mush przestała mówić, a pani Kennedy podniosła się nieco. Nie zważając na to, Sybilla postąpiła do ojca i rzekła cichym, jednostajnym tonem:

— Cieszę się, żeś powrócił, ojcze.

— Jak się masz, Sybillo? zapytał całując ją obojętnie.

— Sybilla odpowiedziała, że się ma dobrze.

Kennedy spojrzał z uśmiechem:

— Przywiozłem kogoś napowrót, Sybillo.

Sybilla nic nie odpowiedziała.

— Nie masz nic do powiedzenia pani Kennedy? zapytał szorstko.

— Spodziewam się, że pani Kennedy podróż odbyła pomyślnie,—rzekła poważnie Sybilla, kłaniając się swojéj macosze.

— O, bardzo! — odpowiedziała pani Kennedy, odpowiadając chłodném skinieniem głowy.

Kennedy z pewną niespokojnością spoglądał to na żonę to na córkę. Obie wyglądały spokojnie i obojętnie. Kennedy wsunął rękę do kieszeni. Myślała Sybilla, że otrzyma gościniec, jaki jéj zawsze przywoził, gdy wracał do domu: nie spodziewała się wielkiéj rzeczy,

ale niemniéj postanowiła przyjąć z wdzięcznością. Kennedy wyciągnął błyszczący flakonik z perfumami, i wręczył go żonie.

— Przepraszam cię, moje serce, rzekł — zapomniałem ci go oddać.

— Już cię głowa nie boli? zapytała czule pani Kennedy.

— Zupełnie przestała; dziękuję ci, kochanie.

Sybilla siadła przy stole, a jéj macocha zaczęła daléj prowadzić rozmowę z panią Mush, o kołysaniu się parostatku na morzu.

Kennedy namarszczył się i miał ochotę zacząć łajać córkę, ale przypomniał sobie obietnicę, daną żonie. Pani Kennedy skończywszy rozmowę o podróży morskiéj, zawróciła na weselszy przedmiot.

— Mój kochany,—rzekła do męża,—musimy bal wydać. Mam ochotę tańczyć, a nie chciałabym w tym celu wychodzić z domu. Wybierzmy dzień jaki.

Kennedy wstał, siadł przy niéj i rzekł, śmiejąc się:

— Nie chcę teraz wydawać balu, moje serce. Nie chcę obudzać zawiści. Pamiętam jeszcze, jakie zrobiłaś wrażenie na owym wieczorze u pani Ronald.

Pani Kennedy roześmiała się i pokazała dwa rzędy zębów ślicznych, białych i błyszczących, jak perły.

— Tak,—rzekła otwarcie—znienawidzono mnie tam, ale nie boję się nienawiści, a ty nie potrzebujesz zawiści się obawiać. Przytém, chciałabym ludziom pokazać, jakie to piękne rzeczy możesz ofiarować swojéj żonie; a przypuściwszy, żem ładna, czemużbyś niemiał pokazać światu, że masz ładną żonę?

— Ludzie wiedzą o tém, moja droga.

— Niech wiedzą i przypominają sobie,—rzekła Blanka uparcie; a ludzie zapominają tak łatwo,—dodała ze słodkim uśmiechem. Zapominają o piękności, dobroci, zasłudze, o wszystkiém, z wyjątkiem pieniędzy.

— Dlaczegoż i tych nie zapomną? zapytała pani Mush.

— Spragniony nie może zapomnieć o swojém pragnieniu, ani głodny o głodzie,—odpowiedziała pani Kennedy.

— Dziwna z pani filozofka, — rzekła pani Mush z szyderczą powagą.

— Zgadzam się na to; niech sobie będę czém pani chcesz, ale muszę mieć bal. I mężulkowi póty uprzykrzać się będę, póki nie wyda balu.

— Ja lubię, kiedy mi się naprzykrzasz, — rzekł Kennedy z uśmiechem.

Blanka nachmurzyła się.

— Widzisz pani sama i rozsądź moję sprawę,—rzekła do pani Mush. Do mnie należy tylko być posłuszną, a broń Boże własną mieć wolę. Tak mi chodzi o ten bal, ale despota powiada: nie, i ja muszę ustąpić. Więc kiedy tak, będę się dąsać.

Nastroiła minkę powabną i melancholiczną. Kennedy nad nią pochylony, rozkochany, oczarowany jéj szczebiotem, a bardziéj jeszcze jéj pięknością, nie ukrywał wcale swego uwielbienia. A Sybilla milcząca, smutna, przypatrywała się i słuchała, czując, że odtąd już jest niczém w domu ojcowskim.

Nie przypuszczała, że tak prędko będzie zapomnianą, że triumf jéj nieprzyjaciółki będzie tak zupełny. Jéj kochanek, przyjaciel, przyjaciółka, ojciec, wszyscy sprzeniewierzyli się po kolei, wprawdzie nie w jednakowym stopniu, ale zawsze dla jéj serca dotkliwie. Któż teraz będzie dla niéj wiernym? Z kim będzie mogła boleść swoję podzielić?

— Czy cię nie boli głowa, moja droga? zapytała pani Mush, zwracając na nią litościwe spojrzenie.

— O, bardzo,—odpowiedziała Sybilla.

Blanka, nic nie mówiąc, podała swój flakonik pani Mush, która podsunęła go Sybilli. Ale panna Kennedy nie dotknęła téj błyszczącéj fraszki, dziesięć razy droższéj niż podarunki, które jéj zwykle ojciec przywoził. Wstała nagle od stołu i rzekła złamanym głosem.

— Dziękuję—pójdę się położyć.

Rzuciwszy wszystkim pośpieszne *dabranoc*, opuściła pokój. Ojciec odetchnął swobodniéj, kiedy się drzwi za nią zamknęły. Nie było mu przyjemnie patrzeć na jéj twarz bladą, zimną, zmienioną. Obecność jéj była mu ciężarem, odejście ulgą.

Serce Sybilli ledwie nie pękało, gdy wchodziła do swego samotnego pokoju. Po chwili gorzkiego płaczu uspokoiła się jednak. Natura jéj, jakkolwiek uczuciowa, była silną; badanie mogło tylko pogorszyć jéj smutną dolę; wiedziała o tém; postanowiła więc być cierpliwą i zrezygnowaną.

Siedziała przy toalecie, obrócona plecami do drzwi swego pokoju, gdy usłyszała ich skrzypnięcie, szelest jedwabnéj sukni, a w zwierciedle przed nią stojącém ujrzała postać pani Kennedy.

Sybilla była nawpół rozebrana, włosy spływały jéj na ramiona, szybko więc porwała szal i owinęła się nim. Blanka Cains już umarła, a pani Kennedy była obcą osobą.

— Sybillo, — rzekła jéj macocha, zamknąwszy drzwi; przyszłam dowiedzieć się, czy ma być między nami pokój, czy wojna?

Sybilla obróciła się, spojrzała na nią i odrzekła lakonicznie:

— Ani jedno, ani drugie.

— Cóż przez to rozumiesz? zapytała pani Kennedy, siadając nieproszona.

— Jesteś pani żoną mojego ojca—nie mam zamiaru wojny z tobą prowadzić.

Jesteś pani moją fałszywą przyjaciółką—nie mogę z tobą pokoju zawierać.

— To otwarcie, chociaż niebardzo jasno,—rzekła pani Kennedy, zarumieniwszy się. Och, Sybillo! dodała, wybuchając płaczem; toż to miłość, którą zawsze mi okazywałaś?

— A gdzież miłość, którą mi pani okazywałaś? zapytała ponuro Sybilla.

— Ojciec twój byłby się w każdym razie ożenił raz jeszcze, — rzekła pani Kennedy; to było widoczne. Cóż w tém złego, że pojął twoję najlepszą przyjaciółkę, nie zaś jaką obcą osobę. Prawda, że to małżeństwo dało mi dobrego i czułego męża, że wyrwało z ubóztwa, a otoczyło dostatkiem; ale nie jesteś skąpa, nie możesz się o to na mnie gniewać. Niedawno jeszcze tworzyłaś tysiące szalonych planów, których celem zawsze było, że miałyśmy nie rozłączać się nigdy. Teraz, gdy się to spełniło w sposób jedynie praktyczny, zaczynasz mnie nienawidzieć. Dlaczegóż to tak Sybillo—dlaczego?

Mówiła gwałtownie i z nieudaném wzruszeniem—widoczném było, iż wolałaby zostać przyjaciółką raczéj, niż macochą. Ale Sybilla ozięble się uśmiechnęła.

— Jeżeli nie było nic w tém złego, dlaczegóż ukrywałaś się przedemną? Dlaczegóż nie wynurzyłaś mi się otwarcie? Chyba dlatego, że krzywdząc mnie nie chciałaś mi ufać. A teraz chcesz, żebym zapomniała najokrutniejszą zdradę, jakiéj kiedykolwiek przyjaźń się dopuściła. Wyzyskiwałaś moję nieświadomość i szydząc z mojéj prostoty, odebrałaś mi ojca. I to jeszcze nie z miłości dla niego—temu nie uwierzę; raczéj z miłości pięknych mebli, pięknych strojów, klejnotów, wszystkiego tego, czém gardzi poważna kobieta. Miéj je sobie, ciesz się niémi!—za nic się sprzedałaś, ale mnie nic do tego, niech to pozostanie między tobą a Bogiem; lecz sprzedałaś i moję przyjaźń, i téj nic, tak, nic nigdy już nie wykupi. Gdybyś ją w morze rzuciła, nie byłaby bardziéj straconą, niż teraz.

Pani Kennedy wstała i posunęła się ku drzwiom. Gdy już rękę miała na klamce, obróciła się i spojrzała na Sybillę. W tém spojrzeniu łączyła się duma z pokorą i z dawném przywiązaniem.

— Był czas,—rzekła, a głos jéj drżał nieco gdy to mówiła,—był czas, Sybillo, w którymbyś była myślała o rzeczywistych dowodach wiernéj przyjaźni, a nie o swoich imaginacyjnych krzywdach. Czuwałam nad twojém łóżkiem, kiedyś była prawie umierająca na pensji, między obcymi. Byłam szczerszą dla ciebie, niż myślisz. Mogłam była iść za każdego de Renneville, a odrzuciłam jego rękę. Zapominasz o tém wszystkiém.

— Nie zapominam, — odpowiedziała Sybilla; aleś sama to wszystko przekreśliła—posiałaś nieufność, więc ją zbierasz. Może jestem niesprawiedliwą, ale sądzę, że byłaś dla mnie dobrą i szczerą wtedy tylko, kiedy cię to nic nie kosztowało; kiedy zaś stanęłam ci na drodze, przeszłaś po mnie bez miłosierdzia.

Pani Kennedy uśmiechnęła się wzgardliwie i odpowiedziała:

— To bardzo wygodne tłomaczenie, wygodny sposób zerwania przyjaźni.

— Znam drugi, łatwiejszy jeszcze, — odpowiedziała Sybilla, patrząc w oczy dawnéj przyjaciołce; wyzyskać przyjaźń i zgnębić przyjaciela. Powiedz, czy kiedykolwiek uczyniłam ci krzywdę,— i nigdy w życiu jéj nie uczynię. Wiém, jaki los mój będzie odtąd w tym domu, i zawczasu mu się poddaję; wprawdzie z bólem serca, ale bez żadnéj myśli odwetu. Gardzę sposobami, jakiebym mieć mogła, aby cię obrazić lub zranić. (*D. c. n.*)

## WIENIEC.

Najszanowniejszy i najprzewielebniejszy Ojcze *Artykule Nadesłany!*.. nie wiém bowiem, jak cię nazwać inaczéj, gdyż pod odezwą Twoją do mnie i do literatów-nihilistów z N-ru 49 Gazety Polskiéj, żadnéj innéj wskazówki: kto jesteś, do jakiego należysz Bractwa lub klasztoru, i jakie nosisz imię, nie podajesz. Otóż najświątobliwszy Ojcze, czemu, powiedz, jesteś tyle na-

iwny, iż chcąc się udawać za szermierza niby Chrystusa, za najdoskonalszéj, jak sam wzmiankujesz, miłości chrześcijańskiéj apostoła, zamiast, jako szermierz i prawdziwy apostoł taki, starać się mnie pierwéj przekonać w grzechu moim i łagodném słowém następnie odwieść od popełniania go nadal,— Ty zaczynasz zaraz od nazwania mnie „płytkim rozumem", „nihilistą", bezbożnym ateuszem etc., mnie, który, jakkolwiek mało w tajemnice teologicznéj mądrości się zagłębiałem, małom badał teorją kapłańskiéj *nieomylności*, to jednakże pracowałem, ilem mógł tylko, życie całe nad nauką, wierzyłem zawsze mocno w Boga, i wierzę dziś jeszcze we wszystko, co tylko jest *prawdziwą* społeczną moralnością, prócz.. w Ciebie, mój Ojcze! Zapomniał-żeś, że czasy auto-da-fe już przeszły, że mnie, tak sobie, ot, na gołosłowną klątwę Twoję, spalić na stosie nie można, i że ja, jako już nie stojący pod groźbą śmierci takiéj, przekonań swoich, jakiekolwiek te są, na żądanie samo Twoje, zmienić nie mogę?

Dowiedź mi, najbezgrzeszniejszy Ojcze, owszem, że istotnie w zachęcaniu swojém prostego ludu, aby ten się więcéj uczył niż chodził do kościoła—(mówię: *więcéj!*)—popełniam coś sprośnego; że nazywając wiedzę, (a pod *wiedzą* rozumiem wydoskonalenie równo-stopniowe umysłu i serca w człowieku), nazywając ją, mówię, *najwyższém dobrem* na ziemi, popełniam niemoralność; że udając religją, w wysokiém jéj znaczeniu, za praktykowanie właśnie zasad *miłości* i *piękna*, za nic więcéj, dopuszczam się *bezbożności* i na też religją, jak się wyrażasz, pluję; że w księgach *Wedy* lub *Zend-awesty*, w dziełach Büchnera, Prudhona, Leibnitza i Descarta, które z widocznym wstrętem przytaczasz, umysł człowieka szukającego prawdy, znajdzie coś mniéj pożytecznego, jak w elukubracjach scholastycznéj propagandy mężów, z tegoż samego co i Ty, obozu; że nareszcie, (boś sam o to zatrącił), posąg jakiś dłuta Fidjasza lub Praksytelesa, gorszym jest płodem bozkiego natchnienia i namaszczenia od innych płodów piękna;—dowiedź mi tego, dokaż, najczystszy Ojcze! a zaraz na przyszły tydzień, pod rubryką tegoż samego Wieńca, za którą od Ciebie i Redakcji Opiekuna się dostało, wyznam głośno przed całym światem błąd swój, i na zmazanie go zupełne, wstąpię do klasztoru nawet. Ale tak... dla samego nazwania mnie przez Cię ateuszem,—dla kilku Twoich frazesów, których dźwięk dziś już i przekupek Starego Miasta nie złudzi,— dla zjednania sobie sympatji u ciebie i Twojego Bractwa, o którą, przyznam ci się dobrodusznie, wcale się dotąd jeszcze jakoś nie starałem,—mam-że pisać co innego nad to, w co mocno sam wierzę? co każdego ukształconego człowieka jest już dziś jawném wyznaniem? i czego pierwsza lepsza książka, nie przez Ciebie i Twoich napisana, uczy?

Dajmy sobie pokój, anielski Ojcze Dobrodzieju! Poco mamy się spierać za dym pusty, przy którym nawet nikt i kawałka mięsa nie uwędzi—poco ludziom tylko ku śmiechowi i żartom służyć?

Dajmy sobie pokój!

Tobie ta i owa książka się nie podoba, a mnie bardzo; Ty widzisz w Leibnitzu wielkiego heretyka, a ja w nim widzę wielkiego matematyka; ty się wstręcisz posągiem Apollina, a ja się nim zachwycam; Ty w Ewangelii znajdujesz to, co ty mówisz, a ja w niéj przeciwnie, znajduję właśnie to, co ja mówię. Zostawmy się w spokoju!

Zresztą, widzisz mój Ojcze, ja nie mam jak ty, czasu, na zasługiwanie się Bogu tą samą drogą szermierki i apostołowania, dla zdobycia sobie raju na tamtym świecie.

Więc.... przypomniawszy ci tylko jeszcze, jako umiejącemu zapewne po łacinie, że *nihil* znaczy *nic*, że przeto ja, wierząc w Boga, w wiedzę, w moralność, w religją, w miłość i w piękno, w żaden sposób bez popełnienia przez kogoś absurdu, *nihilistą* nazwanym być nie mogę,—przypomniawszy ci to jeszcze, pożegnam Cię i przejdę do innych, bardziéj ziemskich, rzeczy.

Oto, chciałem czytelnikom, a raczéj czytelniczkom moim donieść o pewnym, bardzo ciekawym, a będącym według mnie w związku z tyle obchodzącą ich kwestją *emancypacji*, fakcie, podanym niedawno przez jednę z Gazet Rossyjskich, mianowicie „S. Petersburgskie Wiadomości"—o tak nazwanéj tam *babiéj kwestji*.

— „A toż co takiego"? — zawoła zaraz niejedna. „Babia kwestja... cóż to za wyraz! — co za określenie!" I zechce może przymknąć w témże miejscu oczy, aby już nic więcéj o tak niestosownym dla siebie przedmiocie, nie czytać. A jednakże... cóż to jest owa *babia kwestja*, jak nie kwestja właśnie tegoż samego *wyzwolenia* kobiety i porównania jéj we wszystkich prawach z mężczyzną, o rozwiązanie któréj tak mocno, a bez potrzeby, biedzą się nasze autorskie, zagraniczne i krajowe, znakomitości?

Powiedziałem *bez potrzeby*, albowiem, zdaniem mojém, rzeczy jasne i słuszne same przez się, tracą tylko nie zyskają, na używaniu dla ich dowiedzenia ogółowi, zbyt krzykliwych frazesów i naciąganych racij, którémi właśnie większa część prac w sferze wzmienionéj kwestji powziętych, się odznacza. Z wielu, któreśmy czytali, znajdujemy zaledwie parę takich, co na właściwym jego gruncie, przedmiot traktują; do tych zaliczamy mowę Katarzyny z Lordów Stanleyów, hrabiny Amberley-Russel, czytaną na wielkim meetingu w Londynie, i dlatego téż ją wkrótce Redakcja Opiekuna, o ile wiemy, poda do przeczytania czytelniczkom swoim. Zresztą każda z prac takich domaga się dla kobiety właśnie najwięcéj tego, czego téjże najmniéj potrzeba, czego kobiety same albo wcale nie, albo też bardzo mało szukają: możności np. służenia krajowi we wszelkich Biurach i Urzędach jego, na równi z mężczyznami; swobody większéj jeżdżenia konno, palenia papierosów (bez narażania opinii poważnéj kobiety) i t. d., i t. d.—rzeczy, które wszystkie na drugim właśnie w całéj téj sprawie stoją planie i nie stanowią jéj jądra, a tylko akcessorja. Sprawa bowiem sama, spoczywa w urządzeniu przedewszystkiem inném niżli ono było dotąd, *małżeństwa*, jako społecznego zawiązku narodu,—w zreformowaniu najuprzedniejszém stosunku żony do męża w rodzinie,—w tém, jedném słowem, co dało inicjatywę owéj właśnie *babiéj kwestji...* lecz zapomnieliśmy o niéj. Otóż *babia kwestja*, nazywana tak dziś humorystycznie przez ogół w Rossji, jestto ruch obudzony pomiędzy żonami włościan tamtejszych, zpowodu niedawno wydanéj decyzji Rządu, na mocy któréj żona ma prawo skarżenia się i poszukiwania satysfakcji przed Władzami, za wszelkie krzywdy, jakieby ten jéj zadawał, — prawo, którego dotąd, jako uważana za własność tylko mężczyzny, za niewolnicę prawie jego, a w każdym razie za istotę, którą tenże rozporządzać może i która przeto ślub posłuszeństwa mu czyni, — nie miała. Z wykonywania téj nowéj decyzji Rządowéj wychodzą na jaw dopiero fakta i wiadomości, o których w XIX naszym wieku, żadnemu wierzącemu w postęp umysłowi, nie śniło się nawet. Włosy na głowie od wieści o nich powstają. A jednakże, cóżże to jest wszystko, jak nie skutkiem właśnie owych tradycyjnych przesądów, owych wiekowych śmieci *ciemnoty* i *obskuratyzmu*, których przechowania, pod pozorem obrony moralności, konserwatyści całego świata, tak zapalczywie bronią?

Przeniósłszy to wszystko na glebę sprawy o *emancypacją kobiet*, przekonamy się, że *babia kwestja*, przez nas dopieroco opisana, jest niczém więcéj, jak tylko zminjaturowaniem tych samych potrzeb i warunków, które treść owéj pierwszéj *sprawy*, tyle nas dziś zajmującéj, stanowią. O cóż bowiem przedewszystkiem chodzić powinno w sprawie o emancypacją, jeśli nie o to *społeczne*, zupełne porównanie w prawach ich, w pretensjach do zasługi i nagrody za nią, w prawach do używania szczęścia i życia, mężczyzny z kobietą w *małżeństwie*, w *rodzinie*, utwierdzenie którego jest najpierwszym warunkiem umoralnienia tejże rodziny, a zatém i społeczeństwa. Niech dadzą to prawo zupełnéj *równości*, wobec Władz krajowych, kościoła i opinii publicznéj, kobietom naszéj klasy,—niech im pozwolą szukać sprawiedliwości, podobnie jak owym russkim *babom*, za to wszystko, co je w głębi ich rodzin dolega i boli,—a ujrzymy także nagle tysiące tajemnic, które powierzchownym blichtrem chyba tylko, będą się różnić od tych, jakie na dzień biały *babia* wydała *kwestja*.

Jeżeli gdzie, to u nas, obskurantyzm ten w poglądach na obowiązki kobiet, na ich stanowisko, na potrzeby ich i rodzinne życie, trwa i gra swoję głupią rolę. Reformy społeczne, przyznane jużgdzieindziéj odadwna, przez świat cały ucywilizowany przyjęte, jako właśnie *umoralniające* środki i lekarstwa na choroby mas, — w poczciwym kraju naszym wzbudzają jeszcze sobą przestrach i wstręt, podobny do wstrętu od widoku jakiegoś przedhistorycznego smoka, przeciw któremu dobroczyńcy-bohaterowie walczyli.

A teraz, po tém wszystkiém, co według naszych pojęć, przeznaczeniu pisma naszego, cywilizatorskiéj roli jego w stosunku do rodzin naszych, odpowiada,—zakończymy Wieniec dzisiejszy nowiną z innego jeszcze świata, mianowicie ze świata sztuki.

Fedra Conrada, tragedja w pięciu aktach, tłumaczona prześlicznie przez Wład. Anczyca, a umieszczona w jednym już akcie swoim, w Kłosach,—zaczęła się rozegrywać na scenach Teatru naszego. Pierwsze jéj przedstawienie, przeznaczone na benefis dla znakomitéj artystki naszéj, pani Modrzejewskiéj, powiodło się.. o tyle, o ile przypomnienie sztuk Offenbachowskich, uwagi widzów, w czasie patrzenia się na sceny rzeczonéj dragedji, nie odciągało.

Pomimo tego, rzęsiste były ziewania, chciałem powiedzieć... oklaski!

*a. b..*

## Korespondencja od Redakcji.

*Panu A. L. w Warszawie.* Rozprawkę pańską: „O przewodnictwie ciepła" umieścimy, jak tylko miejsce dla niéj otworzy się w Opiekunie. Chcielibyśmy się jednak widzieć jeszcze przedtém z Panem i prosić go o małe zkorrygowanie artykułu, gdyż pewne względy tego wymagają.

*Panu J. B. w Warszawie.* Przesyłamy najakuratniéj pismo swoje wszystkim prenumeratorom. Nie otrzymanie więc przez Pana któregokolwiek numeru Opiekuna, będzie zawsze winą nie Redakcji, lecz roznosiciela, i dlatego, jak Pana tak i wszystkich prosimy najuprzejmiéj, o zawiadamianie nas zaraz o wszelkim braku w numerach, abyśmy każdemu, po sprawdzeniu, co się z dawnym numerem stało, nowy przesłali.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.

Patrz Dodatek.